

Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

Wilno, Sierakowskiego № 21 m. 6.

Czynne od g. 12 — 2 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ: 1/1 strona — 80 zł.

1/2 „ — 40 „

1/4 „ — 20 „

1/8 „ — 10 „

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr.

Nowa era.

Kilkakrotnie już podkreślaliśmy na tem miejscu oryginalną zamianę ról w grze politycznej między czterema partnerami: Francją, Niemcami, Polską i Litwą. Zupełnie tak jak w kartach. Po skończonym robrze, w którym Francja z Polską grała przeciwko Niemcom z Litwą, partnerzy się przesiedli, i dziś jesteśmy świadkami rozegrywania drugiego robra, w którym już Francja z Litwą ma przeciwko sobie Niemcy z Polską.

Nic też dziwnego, że na śmierć francuskich polityków Barthou i Rajmunda Poincaré'go inaczej zareagowała opinia i prasa polska, inaczej zaś litewska. Gdy pierwsza zagłębiała się w przeszłość, druga kładła nacisk na teraźniejszość i przyszłość.

Istotnie jeżeli chodzi o przeszłość, to Litwa nie zachowała przyjemnych wspomnień o swych stosunkach z Francją, Poincaré bowiem przyczynił się w głównej mierze do uchwały Konferencji Ambasadorów z d. 14 marca 1923 r., uznającej granice wschodnie Polski. Wielką tę zasługę wobec Polski ówczesnego prezydenta Francji przypomniał na łamach „Kurjera Warszawskiego” gen. Wł. Sikorski, który piastował wtedy stanowisko premiera.

Polska podejmowała kilkakrotnie kroki o to uznanie prawne przez sygnatarjuszy Traktatu Wersalskiego, lecz bezskutecznie. W lutym 1923 r. po zamachu na Kłajpedę, rząd polski wystąpił ponownie o uznanie granic wschodnich, a gdy napotkał trudności ze strony Konferencji Ambasadorów, wówczas gen. Sikorski wysłał do Poincaré'go depeszę, prosząc go o poparcie.

„Już 22 lutego — pisze gen. Sikorski — zawiadomił nas prezydent Poincaré telegraficznie, że w odpowiedzi na zakomunikowane mu wezwanie podejmuje kroki, celem zapewnienia Polsce jaknaj-

pełniejszej satysfakcji. W swej zasadniczej natomiast odpowiedzi, nadesłanej w dwa dni później, informował Warszawę, że polecił delegatom Francji na Konferencję Ambasadorów, by natychmiast zażądali definitywnego uregulowania granicy polsko-litewskiej oraz całości wschodnich granic Polski i to zgodnie z jej żądaniem... W rzeczywistości pod osobistym wpływem Poincaré'go dokonał się wkrótce w pracach Konferencji Ambasadorów raptowny i korzystny dla nas zwrot. Już 14 marca 1923 r. zapadło w Paryżu postanowienie o historycznym dla Polski znaczeniu, którego mocą uznano ostatecznie jej wschodnie granice. Decyzja ta pozostanie nazawsze złączona z nazwiskiem Poincaré'go, które ma pełne prawo do naszej o nim trwałej i wdzięcznej pamięci”.

Rzecz prosta, że w Kownie puszczone obecnie w niepamięć ten przykry dla Litwy moment z działalności b. prezydenta Francji, skoro półurzędowe „Liet. Aidas” stwierdza, że „uczczenie dwóch mężów stanu przeszło w Kownie w nastroju tak podniosłym, iż uczczenie to stało się istną manifestacją przyjaźni litewsko-francuskiej. Można było od razu wyczuć, że ma się tu do czynienia nie ze zwykłą formalną kondolencją, lecz z przejawem szczerzej sympatji ze strony litewskiej w stosunku do Francji. Świadczą o tem zarówno przemówienia, jak też okoliczności, w których uroczystości się te odbyły...”

Nawiązując do wspomnianej manifestacji „Liet. Aidas” rozwodzi się szerzej nad sytuacją międzynarodową i stawia takie oto horoskopy:

„Zarówno z enuncjacyj prasy francuskiej, jak też z oświadczeń wodzów francuskiej polityki można sądzić, — czytamy tam — że w społeczeństwie francuskim zainteresowanie Litwą i jej sprawami znacznie w ostatnich czasach wzrosło. Co najważniejsze zaś, ogół francuski zaczyna w ostatnich czasach należyście oceniać pokojowe wysiłki Litwy i znaczenie ich dla politycznej konsolidacji w Europie Wschodniej.

Pozwala to oczekiwać, że zbliżenie litewsko-francuskie zdobędzie trwałe podstawy i będzie mogło odegrać w polityce pokojowej rolę sobie należną.

Rzecz jasna, dzisiejsze stosunki francusko-litewskie oparte są na wspólnych dążeniach pokojowych. Zadaniem polityki francuskiej jest ustabilizowanie pokoju w Europie. Dzięki Francji wysunięty został projekt paktu wschodniego. Pakt ten zapewniając bezpieczeństwo w Europie Wschodniej, miał stabilizować pokój w tym zakątku świata, gdzie z powodu ekspansji politycznej niektórych państw warunki pokojowej współpracy międzynarodowej są bardzo utrudnione. Znane są trudności, z jakimi dyplomacja francuska musiała walczyć, zanim projekt paktu wschodniego zdobył uznanie innych mocarstw. Znane też są trudności, z jakimi dyplomacja francuska się zetknęła, kiedy Polska i Niemcy, związane paktem z 26 stycznia, stanęły w poprzek drogi do zamierzonego dzieła. Francji wypadło tu walczyć nie tylko o pokój, lecz również przeżyć niespodziewany zawód ze strony sprzymierzeńca, dla którego Francja zrobiła bodaj wszystko, by był on wierny.

Francja wciąż się jeszcze spodziewa, że „obłąd” Polski przejdzie i że Polska znowu się stanie wierną sojuszniczką francuską. Niestety prasa węgierska z okazji podróży Goembesa do Warszawy podnosi już zasłonę okrywającą tajemnice stosunków politycznych Polski z Niemcami i otwarcie pisze o przyczynach, dla których Polska wyrzekła się paktu wschodniego. Jeżeli wierzyć informacjom prasy węgierskiej Polska miała odmówić zagwarantowania granic Czechosłowacji, gdyż dąży do wspólnych granic z Węgrami, z którymi wiąże Polskę przeszło tysiącletnia przyjaźń. Z tego wynika, że Polska żywi plany całkiem sprzeczne z planami, do których realizacji zmierza polityka francuska. W takim razie trudno się spodziewać, by „obłąd” Polski minął.

W ten sposób w sprawie paktu wschodniego Francja niespodziewanie natknęła się na trudności ze strony zupełnie nieoczekiwanej. Z drugiej strony polityka francuska w tej sprawie znalazła żywe uznanie tam, gdzie właśnie z powodu tego paktu mogły wyniknąć wątpliwości. Litwa odrazu sama się przyłączyła do projektu paktu wschodniego i dokładała wysiłków, by Polacy nie odstraszyli od przyłączenia się do tego paktu innych sąsiadów Litwy. Tak więc cele Litwy i Francji, zmierzające do pokoju, okazały się całkiem analogiczne. Wielkie uznanie znalazła również we Francji inicjatywa Litwy w kierunku utworzenia związku bałtyckiego. Związek ten, nie mając wprawdzie charakteru paktu gwarancyjnego, jest wielkim krokiem naprzód na drodze konsolidacji pokoju w Europie Wschodniej, do której to konsolidacji dąży obecnie Francja. Niepodobna również nie wspomnieć o jeszcze jednym łączniku między Francją a Litwą. Jest nim stosunek obu krajów do Ligi Narodów. Francja nadaje instytucji genewskiej

największe znaczenie w sprawach organizacji pokoju. Podobnie Litwa zawsze była wierna idei L. N. i wdziała w realizacji tej idei najlepszy środek dla wyjaśnienia solidarności narodów i uporządkowania międzynarodowej współpracy.

Nie wspominając już o innych dziedzinach, w których zbiegają się dziś linje polityki litewsko-francuskiej, należy oświadczyć, że dla zbliżenia Litwy z Francją wytworzyła się dziś solidna podstawa. Podstawa ta, rzecz prosta, opiera się nie tylko na zbieżności celów politycznych obu krajów, jaka się w ostatnich czasach ujawniła, lecz również na wzajemnym bliższym zapoznaniu się społeczeństw obu krajów. Daje to nadzieję, że wzajemne zapoznanie się, konieczne w każdej współpracy, nie będzie więcej maćcone ze strony i że w stosunkach francusko-litewskich rozpocznie się naprawdę nowa era”.

Powyższe wywody miarodajnego organu litewskiego dają możność wyrobienia sobie sądu o nastrojach i tendencjach, panujących dziś w kierowniczych kołach litewskich. Na tem tle zarysowuje się wyraźnie całkiem nowy układ sił na widowni europejskiej, a jednocześnie kwestja stosunków polsko-litewskich nabiera nieco odmiennego zabarwienia, stając się jednym z ogniw całego łańcucha kombinacji i interesów międzynarodowych.

Ogólną uwagę musiała zwrócić ogłoszona w dziennikach miejscowych w drugiej połowie ub. m. dość długa lista osób narodowości litewskiej, ukaranych grzywną przez wileńskiego Starostę Grodzkiego za wykroczenia przeciwko przepisom administracyjnym, przeważnie w zakresie sanitarnym. To chyba nie przypadek ani zbieg okoliczności, lecz jakaś akcja celowa—musiało każdemu przyjść na myśl po przeczytaniu powyższych komunikatów.

I kto tak sądził, miał rację, bowiem niewątpliwie d. brze w tych sprawach poinformowany „Kurjer Wileński” z dn. 25 października w artykule wstępnym p. Testisa zupełnie otwarcie przyznał, że ściąganie kar pieniężnych z Litwinów wileńskich jest podyktowane chęcią odwetu za grzywny, nałożone przez władze litewskie na pismo polskie ludowe „Chata Rodzinna”. Słuszność metod odwetowych umotywował przytem p. Testis obszernie, chociaż mało przekonująco.

Nie będziemy dyskutowali na ten temat z p. Testisem. Byłoby to bezcelowe. Argumenty przeciwne p. Testis może z łatwością znaleźć we własnym piśmie z r. 1927, które wówczas potępiło zastosowane na szeroką skalę t. zw. retorsje. Jeżeli dziś jest redakcja „Kurjera Wileńskiego” innego zdania, to widocznie poglądy jej uległy ewolucji. Na to niema rady.

W danym wypadku jednakże nasuwa się pytanie. Jeżeli chodzi — jak utrzymuje p. Testis — o wyrównanie szans, to czy nie prościej byłoby otworzyć w jakimś banku neutralnym dwa konta: jedno dla Polaków kowieńskich pokryłby rząd polski, drugie dla Litwinów wileńskich obciążłoby w tej samej wysokości rząd litewski. A wtedy manipulację wyrównywania rachunków mogłaby z powodzeniem załatwić buchalterja banku według udzielonej sobie zgóry dyrektywy.

Dwa zgony.

Któż z ludzi, interesujących się zagadnieniami narodowościowymi w Polsce, nie znał Marjana Świechowskiego? Cichy, o wyglądzie ascetycznym, jakby zapatrzony w zaświaty snuł się niez mordowanie między Warszawą a Wilnem, rzadko występując publicznie, częściej konferując poufnie w zacisznych gabinetach z redaktorami, posłami, dygnitarzami, ministrami nawet. Zajmował nieraz sam stanowiska redaktorskie i urzędnicze, lecz częściej działał za kulisami. Bywały okresy, kiedy uchodził za „szarą eminencję” w zakresie spraw narodowościowych, zwłaszcza o ile chodziło o kwestję białoruską i litewską.

Czy istotnie posiadał takie wpływy w sferach rządowych? Trudno na to pytanie odpowiedzieć. Nie jedną wprawdzie ulgę lub koncesję przy jego pomocy, dzięki jego wstawianictwu i poparciu uzyskiwali litewscy i białoruscy petenci, ale ostatecznie zasadniczej swej idei, głównego celu swych zabiegów—skierowania polityki polskiej na tory tradycji Jagiellońskich, nietylko nie zrealizował, ale przeciwnie zmuszony był patrzeć, jak z każdym rokiem rzeczywistość odbiegała coraz dalej od jego marzeń i ideałów.

Niepoprawny optymista nie zerwał jednak z systemem, który zgotował mu tak bolesny zawód, nie odszedł z głośnym protestem i nie chciał uwierzyć w swe bankructwo. Trwał uporczywie przy tych, którzy sponiewierali czczonych przezeń bogów, łudząc się, że rychło nastąpi odmiana, że zostanie w końcu zrozumiany, że rola jego nie jest jeszcze skończona. I tem trwaniem wyrządził niepowetowaną szkodę umiłowanej przez się idei.

Klęska jej bowiem polegała nie na tem, że warunki układały się niepomyślnie, że weszły fałszywe nacjonalizmu i załaziły grunt, na którym idea kielkowała, nie na tem, że ci w których mocy było ją podeprzeć swym autorytetem, lekceważąc ją podeptali, lecz na tem, że jej wyznawcy i czciciele nie potrafili zachować swego sztandaru w czystości i pozwolili zszargać się mu w błocie oportunistów.

Czy można mieć nadzieję, że szczerne hasło „wolni z wolnymi, równi z równymi” odzyska swą moc atrakcyjną, jeżeli ci, co je głosili naprawdę z głębokim przekonaniem, nie znaleźli w sobie tyle siły i męstwa, by potępić jawnie politykę egoizmu narodowego i nietolerancji, jeżeli nie odgradzili się od niej wyraźnie i, sankcjonując ją niejako swym udziałem, a chociażby tylko bliskim kontaktem z kierownikami i wykonawcami, poderwali raz na zawsze wśród „młodszych braci” wiarę w ideowość polskich demokratów i federalistów?

Nie zdawał sobie widocznie sprawy z tych konsekwencji Świechowski. Bolał, cierpiał, lecz nie protestował. Wciąż jeździł, działał, konferował. Los litościwy, pragnąc może oszczędzić mu dalszych rozczarowań i zawodów, zgotował mu koniec, nie pozbawiony charakteru symbolicznego. W powrotnej drodze z Kowna do Wilna, na tym zamkniętym dla szerszego ogółu trakcie, którego otwarcia pragnął tak gorąco, spotkała go katastrofa samochodowa. Przewieziony do Kowna, po parotygodniowych cierpieniach zmarł d. 26 października i pochowany został w grobach rodzinnych w Niemokształch na Żmudzi.

* * *

Niemal jednocześnie zmarł w Kownie dr. Józef Purickis, wybitny publicysta litewski, pisujący pod pseudonimem „Vygandas”, b. minister spraw zagranicznych Litwy, jeden z czynniejszych członków Związku Wyzwolenia Wilna.

Urodzony na tej samej ziemi litewskiej, o rok tylko młodszy od Marjana Świechowskiego, Purickis stanowił zupełne jego przeciwieństwo. Był zdecydowanym nacjonalistą litewskim i nie żywił żadnych sentymentów dla przeszłości po-unjowej. Do Polski czuł niechęć i nie pragnął dla swej ojczyzny bliższych z nią związków. Ideałem dlań była Litwa w granicach etnograficznych z Wilnem jako stolicą. Do tego celu dążył z uporem i pasją w swej działalności zarówno dyplomatycznej, jak publicystycznej. Ale i jemu nie danem było doczekać się urzeczywistnienia swych marzeń i ideałów. I jego spotkał zawód, gdy, odrzuciwszy projekt Hymansa, spodziewał się odebrania Wilna Polsce bądź to przy pomocy Ligi Narodów, bądź to wskutek konfliktów międzynarodowych. A jako publicysta nie umiał wskazać swemu społeczeństwu konkretnej drogi do odzyskania Wilna, poprzestając jedynie na budzeniu uczuć narodowych w duchu odwetowym i nieprzejednanym.

* * *

Jakże tragiczny jest los Litwy. Oto dwaj jej synowie, obaj ją gorąco kochający, obaj z myślą o niej żyjący i działający, kroczą przez życie nie stykając się z sobą, obcy sobie, dalecy i niechętni, i obaj umierają, nie osiągnawszy swych zamierzeń, nie mając pewności nawet, czy i kiedy zostaną one urzeczywistnione. Obaj utopił się. Obaj nie liczyli się z rzeczywistością, jeden pragnąc wskrzesić przeżyte kształty historyczne, drugi chcąc odwrócić bieg ewolucji dziejowej. A gdyby znaleźli wspólny cel i połączyli swe wysiłki, być może ujrzeliby jeszcze przed śmiercią swą skolataną ojczyznę w pełni zadowolenia i rozkwitu.

Tym łącznikiem zaś mogła być tylko idea krajowa.

Karol Waga.

Rozmowa z Mińczukiem.

Zapoznano mnie niedawno z człowiekiem, który ostatnich kilkanaście lat mieszkał w Mińsku i własnymi oczami obserwował t. zw. budownictwo socjalistyczne w stolicy B.S.S.R. Zasypałem go pytaniami o życie sąsiadującego z Wilnem miasta.

— Odpowiem Panu na każde pytanie całkiem bezstronnie—oświadczył uprzejmie.—Stawiam jednak jeden warunek: skoro ma to być wywiad prasowy, zastrzegam się dla pewnych powodów przeciwko ujawnianiu mego nazwiska.

Gdy mój rozmówca wyjaśnił przyczynę tego zastrzeżenia, zgodziłem się z nim najzupełniej i naturalnie przyrzekłem zastosować się do prośby.

— Może pan na początek zechce coś powiedzieć o obecnym zewnętrznym wyglądzie Mińska?

— Ktokolwiek znał Mińsk przedwojenny, ten musi stwierdzić, że zaszły w tym wyglądzie ogromne zmiany. Po wyjściu z dworca kolejowego uderza przyjeźdnego przedewszystkiem kompleks budynków 9-cio piętrowych, pomysłanych jako jeden olbrzymi

gmach. Jest to Dom Sowietów, zatrudniający obecnie ponad 7 tysięcy urzędników. W godzinach połu dniowych stoi tu długi sznur samochodów, oczekujących na komisarzy i wyższych urzędników. (Prywatnych aut i dorożek niema w całym mieście). Gdy po godzinach urzędowych popłynie z wyjść potok urzędników sowieckich, można niemało odczytać z ich wyglądu. Ubrani są wszyscy bardziej niż skromnie. Kobiet około 40 proc. Żadna z nich nie nosi kapelusza. Na obciętych włosach widnieje beret a czasami chustka umiejętnie zawiązana z tyłu głowy. Tak się ubierają, zresztą, nietylko urzędniczki.

Na tle Domu Sowietów olbrzymi pomnik Lenina.

Naogół nowych gmachów rządowych jest w Mińsku sporo. Na szczególne wyróżnienie zasługują budynki uniwersyteckie zwane „Uniwersytecki haradok”. Gorzej sprawa przedstawia się z domami mieszkalnymi. Mińsk jest przeludniony i kwestja mieszkaniowa jest tam bardzo daleka od rozwiązania.

Z innych osobliwości Mińska pod względem zewnętrznym warto podkreślić uruchomienie tramwajów elektrycznych, pokrycie klinkierem jezdni na główniejszych ulicach oraz uporządkowanie chodników. Elektryczna sieć oświetleniowa, jakkolwiek została znacznie rozszerzona, oświetla Mińsk bardzo niewystarczająco.

— Jak się przedstawia kwestja prawa własności prywatnej w stosunku do nieruchomości miejskich?

— Jak wiadomo, większa własność już dawno została upaństwowiona. Były właściciel kamienicy nie tylko nie otrzymał żadnego pokoju w swoim domu, lecz pod tym czy innym pretekstem został zaliczony w poczet kontrrewolucjonistów i w najlepszym wypadku wysiedlony do miejscowości oddalonych. Nieruszano właścicieli domów, których wartość nie przewyższa 10 tysięcy rb. Obecnie każdy sobie może budować dom nie przekraczający wartością wyżej oznaczonej sumy, jednak taki ruch budowlany nie istnieje, ponieważ pojęcie własności w Sowietach pozostaje wciąż płynne, a nauczeni gorzkim doświadczeniem obywatela są pod tym względem bardzo ostrożni. Mam tu na myśli czasy NEPU, gdy kamienicznicy otrzymali swoje domy z powrotem, by po dokonaniu remontu utracić je na nowo.

— Nie wątpię, że panu jest dobrze znany los świątyń mińskich.

— O tak, mogę służyć informacjami. (Będę

jednak starał się na każde pytanie odpowiadać możliwie krótko, gdyż widzę, że ma pan tych pytań sporo). Ze świątyń mińskich istnieje obecnie jedynie cerkiew na cmentarzu prawosławnym oraz katolicki kościół katedralny. Ocalenie tego ostatniego należy przypisać staraniom polskiego konsulatu w Mińsku. Konsulat podobno motywował zachowanie kościoła potrzebami religijnymi licznych urzędników tegoż konsulatu. Wszelkie inne budynki pokościelne i pocerkiwne obecnie służą całkiem innym celom. Kościół katolicki przy ul. Zacharzewskiej (fundacja Woyniłłowicza) został zamieniony na teatr polski. Z soboru prawosławnego rozbudowano elewator. Budynki żeńskiego klasztoru prawosławnego przy ul. Przeobrażeńskiej zajęte są obecnie przez związek kooperacji. Synagogę przekształcono na teatr żydowski. Trzeba panu wiedzieć, że wszelka likwidacja świątyń odbywała się wskutek uchwał robotniczych organizacji, w istocie jednak działo się to z inspiracji kół rządowych.

— Czy nie zechciałby Pan powiedzieć w jakiej mierze i kogo obowiązuje język białoruski w BSSR?

— Język białoruski, czyli jak tam się w skrócie bolszewickim nazywa, „biełmowa” obowiązuje w każdym urzędzie i uczelni. Nie znaczy to jednak, żeby urzędnicy pomiędzy sobą rozmawiali po białorusku. Przeciwnie, rozmowa dominuje rosyjska. Księgi, druki wszelkie, zawiadomienia, nakazy płatnicze, karty żywnościowe, legitymacje—wszystko to po białorusku, lecz rozmowa w tym języku zawsze może nasuwać podejrzenie, że się ma do czynienia z „nacedmem”, którego prześladuje się bez pardonu. Na ulicy najczęściej się słyszy język rosyjski. Podtrzymują go przedewszystkiem Żydzi i wojsko. Trzeba zaznaczyć, że garnizon miński i straż pograniczna składa się z rozmaitych narodowości Związku z wyjątkiem Białorusinów.

— Jak się przedstawiają sprawy oświatowe w BSSR?

— Szkolnictwo jest tak szeroko rozbudowane, że ilościowo nie może być żadnego porównania z czasami przedwojennymi. Zdaje mi się jednak, że z tej strony granicy szkolnictwo to jest widziane w zbyt różowych kolorach. Jak wszystko w Sowietach, tak i szkolnictwo jest obszernym polem wszelkiego rodzaju eksperymentów. Obecnie wytworzył się typ szkoły „dziewięciolatki” odpowiadającej mniej więcej

Ludność niemiecka w dawnym Wilnie.

II.

Kaznodzieje i starsi zboru lutereckiego w Wilnie wystosowali d. 31.V.1583 do księcia Prus Albrechta Fryderyka pismo w języku niemieckim, prosząc go o pomoc w uskutecznieniu budowy większej kirchy w Wilnie. Dotychczas luteranie miejscowi nie posiadali tu starego miejsca publicznej modlitwy i musieli przytem niejedno znieść, siedząc w dworku ongi Eustachego Hornostajewicza na rogu ul. Wolana i Literackiego. Własny zbor słusznie wydawał się im bezpieczniejszy.

Lecz nietylko Wilno wieku XVI, bo i siedemnastowieczne też posiadało duży odsetek ludności niemieckiej, zwłaszcza jeśli uprzytomnimy, że naogół zbyt ludnym podówczas nie było. Właśnie około r. 1606 administratorem i dozorcą nowych celi w W. Ks. L. był Niemiec Konrad Bremer. W r. 1613

bierze czynny udział w życiu miasta Jerzy Schortz (lub Schurz). W r. 1633 występuje, jako rzecznik murarzy—Michał Zimmermann, także stolarzy—Hans Weiner. W lat dwadzieścia potem figurują w Wilnie trzy imiona *patrycjuszów* wileńskich: Tomasz, Jakób i Jan Gibellowie, z których Jakób był burmistrzem wileńskim. Córka jego Elżbieta była zamężna za doktorem medycyny Pawłem Möllerem, którego jeszcze spotkamy w dziejach Wilna, drugą zaś siostrę Krystynę pojął kupiec von der Floten. Również znani są radca Jerzy Lang, mieszczanin i kupiec Reinhold Witmacher, Piotr Klett, Bonawentura Engelbrecht, *ein Herr Pasternack* i *eine Frau Wienhold, eine geborene Gibel*. Wszyscy oni władali wtedy w Wilnie domami i dworami, a Gibellowie i ich spadkobiercy nawet kamienicą przy ul. Zamkowej, nieopodal placu Zamkowego, dziś Katedralnego. Tak znaczenie i gęstość zaludnienia gminy niemieckiej m. Wilna, na przelomie wieków XVI—XVII, urosły jeszcze bardziej.

Najście Moskwy na Wilno w w. XVII, naj-

naszej szkole średniej. Charakterystycznym rysem programów szkół średnich był dotychczas brak nauki historii i geografii. Na wsi panuje typ szkoły początkowej zbliżony do typu polskiej trzechoddziałowej szkoły powszechnej. Szkoły te nie mają odpowiednich lokali i dużo jeszcze czasu upłynie, nim te braki zostaną zaspokojone, a dziecko przeciętnego wieśniaka ukończy oddaloną zbyt od jego wsi dziesięcioletkę.

Uniwersytet miński liczy ponad 4000 studentów i studentek. Każdy wstępujący podpisuje z władzami odpowiedni kontrakt. Związany kontraktem student musi w przyszłości w ten czy inny sposób zwracać koszty naukowe i subsydja rządowe, wynoszące 60 rb. miesięcznie. Poza tym w ciągu trwania studiów każdy student zobowiązany jest na zawołanie stawić się do wszelkich robót fizycznych na roli, na fabrykach, nie wyłączając usuwania śniegu z torów kolejowych. W wyniku tych warunków obecnie daje się zauważyć ciekawe zjawisko: dobrowolne omijanie murów uniwersyteckich przez młodzież. Doszło do tego, że jadącemu na wakacje studentowi władze uniwersyteckie nakazują zaangażować do uniwersytetu w ciągu lata co najmniej dwóch kandydatów.

— A więc już nie istnieje dawniejszy klucz klasowy przy przyjmowaniu do uczelni? — zapytałem.

— Owszem istnieje. Może tylko zmienił się co do formy i nieco osłabił. Istnieją w każdej uczelni t. zw. „naścienhazety”, które jak i dawniej przede wszystkim służą wykrywaniu „wroga klasowego”. Poza tym istnieją w każdej szkole wszelkiego rodzaju komitety, zadaniem których jest przede wszystkim kontakt szkoły z czynnikami rządzącymi.

We wszystkich szkołach, z wyjątkiem mniejszościowych, obowiązuje język białoruski jako wykładowy. Wielkim nieporozumieniem jest rozpowszechniony u nas pogląd, że sowieckie nauczanie jest bezpłatne. Jest to fikcja. Każdy bowiem obywatel przy odbieraniu wynagrodzenia, choćby to był pracownik rolny w kolhasie, płaci pewien podatek na rzecz t. zw. „kulturalnego zboru”, t. zn. na potrzeby szkolnictwa.

— Czy prawdą jest, że w oczach władz bolszewickich katolicy Białorusini uchodzą za Polaków?

— Z zagadnień szkolnych w BSSR wynikałoby, że tak jest. Jak wiadomo wsi polskich niema tam prawie wcale, a jednak w rejonie, zwanym Dzierżyń-

skim istnieje na wsi sieć szkół polskich. Wykłada się tam jednak i język białoruski jako przedmiot. Niepodobna przypuścić, by władze nie orjentowały się kto są ci katolicy. W kołach miejscowych zjawisko to tłumaczą przebłyskami nacjonalizmu polskiego takich dygnitarzy jak Dąbał i inni. Przebakują też nierzadko o szkolnictwie polskim jako zjawisku mającym swój związek przyczynowy z polityką zagraniczną ZSSR. Ile w tem prawdy — nie wiem.

— Jeszcze jedno ostatnie pytanie: czy naprawdę obywatel BSSR nie wybrnął dotychczas z chronicznego niedojadania, lub głodu? Jest to sprawa, która nierozłącznie jest u nas związana z pojęciem systemu bolszewickiego i najwięcej ten system kompromituje.

— Jest to kwestja bardzo skomplikowana. Zagadnienia gospodarcze w Sowietach — to dotychczas trwająca rewolucja. Niepodobna ustalić jakkolwiek doktrynę, która by znalazła ogólne uznanie. Eksperymentuje się jeszcze przy nakładzie wszystkich środków propagandowych. Mimo wszystko fakt pozostaje faktem: ludność nie głoduje, niema zupełnie bezrobocia, ale ludność ta systematycznie nie dojada. Wszystko według planu. W planie widocznie jest i niekompletne odżywianie się. Czego się nie robi dla dobra międzynarodowej rewolucji!

Urządnik przeciętny w Mińsku pobiera średnio około 180 rb. miesięcznie. Mało więcej robotnik. Proszę zestawić z cenami. W Torgsinie (Handel z cudzoziemcami) na obcą walutę kupuje się chleb za 10 groszy kilo, w kooperatywie na kartę żywnościową 50 kop., w handlu państwowym — 1,50 kop. w prywatnym handlu (w pewnych okolicznościach dozwolony) — 3—4 rb. Cukier w Torgsinie 50 kop., w kooperatywie — 5 rb., w państwowym handlu — 15 rubli. Takie produkty jak śledź, mydło — należą w Mińsku do rzeczy luksusowych.

Dla pewnego rodzaju pracowników wydawany jest żywnościowy „pajok” miesięczny, który jednak musi być opłacony. Wynosi on według najwyższej normy: 1 kilo makaronu, 1 kilo śledzi, półtora kilo cukru. Wszystko to według cen spółdzielczych. Są oczywiście ludzie, którzy nie odczuwają braku tłuszczów w organizmie. Niektóre kategorie pracowników, szczególnie naukowcy, pobierają do 800 rb. miesięcznie i mogą pomyśleć o swojej garderobie. Ale nie są to liczni wybrańcy losu.

straszliwsza dla miasta klęska, wypędziło z murów naszego grodu do Prus całe zastępy obywateli niemieckich. Nie trzeba upatrywać w tem małego życia się ich z nową *Heimat* nad Wilją, bo przed dzikiem kozactwem Niemniej licznie zmykali z Wilna autochtoni. Jeszcze dziś istnieją w królewieckim archiwum państwowem długie listy niemieckich uciekinierów z Wilna, dotyczące początku r. 1656, a będące ważnym dokumentem do dziejów Wilna (i naogół litewsko-białoruskich miast).

Po wzięciu przez cara Smoleńska w r. 1654, sunęła Moskwa na Wilno, rabując, plądrując, mordując i paląc nieszczęsne ziemie litewsko-białoruskie. Latem r. 1655 bojaryn ruski książę Czerkaski rozbił wojska hetmana litewskiego Radziwiłła i zajął zbrojnie stolicę Litwy, dokonawszy tu strasznych okrucieństw. Posel kurfirsta brandenburskiego Fryderyka Wilhelma, Lazarus Kittelmann, który w sierpniu r. 1655 przybył do Wilna, dla pertraktacji z carem, (czy tylko nie dla obrony rodaków?), przerażony był ogromem dokonanych tu przez Moskwę spu-

stoszeń. Wszystkie wsie i miasta były spalone, drogi, ulice i place zawałone mnóstwem niepogrzebanych a rozkładających się ciał pomordowanych mieszkańców, w tej liczbie bezbronných kobiet i dzieci. Żywych nie było prawie widać: zbiegli lub kryli się. Posel Kittelmann musiałby wraz ze swiata głodować tu, jeśliby nie zaopatrzył się przed drogą przezornie w niezbędny prowiant. Gdy zamieszkali na północ uciekali do Rygi, mieszkańcy Wilna: Litwini, Polacy i Niemcy, nawet niektórzy unicy Białorusini, ze szczególnie zniechęconym przez Moskali duchowieństwem gr.-kat., świeckim i zakonem na czele, szukali ucieczki za najbliższą granicą, więc na terenie zaprzyjaźnionego księstwa Prus. Celem tych uciekinierów były: Królewiec, Ragneta, Tylża, również niektóre pograniczne miasta mazurskie. Liczni zbiegowie przybyli tu, uratowawszy wprawdzie życie, lecz nic z majątności.

Kurfirst i jego pruski rząd oraz władze przyjęli uciekinierów nietylko chętnie, lecz przyjaźnie. Jako książę Pruski, Fryderyk Wilhelm, zw. *der Grosse*

Ubranie i obuwiu nabywać można tylko przy pomocy specjalnych kartek. Para butów według ceny państwowego handlu kosztuje ponad 50 rb.

Już tych kilka cyfr doprowadzić musi do wniosku, że kwestja żywnościowa i odzieżowa była i pozostała największym utrapieniem sowieckiego systemu i nie widać jej rychłego rozwiązania.

Jest jeszcze jedna kwestja innej natury, która po chlebie może najwięcej obchodzi obywatela. Cały świat wie o absolutnym braku swobód politycznych w Sowietach. Ten znany fakt pozwolę sobie zdemonstrować choć na drobnym przykładzie, zato bardzo wymownym:

Pewien inteligent miński zapragnął odświeżyć imieniny swojej żony. Przepisowo zameldował o tem... stróżowi. Ponieważ wyjaśniło się, że będzie około 20 osób — towarzysz stróż domowy również przepisowo zażądał listy gości, celem zameldowania GPU. Gdy lista znalazła się w GPU, urzędnik długo wodził po spisie, nareszcie autorytatywnie oświadczył: „Zebranie może odbyć się, gdyż jest na liście cała trójka naszych ludzi”.

Podziękowałem memu rozmówcy za ciekawe informacje i roześmiałem się. W powrotnej drodze prześladowała mnie natrętna myśl, jakie to musiały być niewesołe imieniny...

S—icz.

Prasa wileńska.

(*Obserwacje feljetonisty*).

Będzie to przegląd prasy *à vol d'oiseau*, lub może lepiej z lotu aeroplanu. Jak sobie człowiek zasiądzie wygodnie w kabinie samolotu, może na uparte go studjować tam prasę wileńską, a jeżeli przytem dostanie mdłości, można to zwać nie na prasę, broń Boże, lecz na „chorobę powietrza”.

Zacznijmy nasz przegląd od pisma, które służy arystokracji i marzy o Królu. Jest to „Słowo”. Wychodzi w Wilnie już XIII rok. Prenumerata miesięczna cztery złote. Redaktorem pisma jest p. Władysław Bodak, jak należy sądzić z podpisu. Świadomi rzeczy opowiadali mi, że najciekawsze artykuły w piśmie pisuje właśnie redaktor, ukrywający się pod pseudonimem *Cat*. Jest tam jeszcze podpisany

niejaki Stanisław Mackiewicz, ale ten zajmuje się tylko stroną wydawniczą i zapewne na kierunek ideowy pisma nie ma żadnego wpływu.

Ze stałych publicystów „Słowa” należy na pierwszym miejscu postawić *Walerjana Charkiewicza*. Jest to dziennikarz ciężkiego kalibru (nie chce przez to powiedzieć, że go się ciężko czyta), biorący wszystko bardzo na serjo. Zainteresowania swoje dzieli między kościołem i teatrem. Coś w rodzaju — Floridor i Celestin, albo organista we dnie, a w nocy jazzbandzista w kabarecie. Ledwie skończy artykuł o Unji Kościelnej na Ziemiach Wschodnich, już zaraz pisze sprawozdanie z ostatniej farsy w teatrze, a może obydwia artykuły pisze jednocześnie — na dwie ręce. Zachodzi obawa, że się kiedyś pomyli i przeprowadzi unję kościoła z teatrem.

Przeciwieństwem Charkiewicza jest feljetonista „Słowa” *Jerzy Wyszomirski*. Ten nic nie bierze na serjo, nawet chyba siebie samego. Ma lekkomyślność i... talent. Czego więcej — trudno powiedzieć. Jednego i drugiego — dużo. Chodzą po mieście plotki, że zazdrosny redaktor „Słowa” trzyma go stale na łańcuszku, żeby się przypadkiem nie zabłąkał do cudzego pisma. Wolno mu... pisać... tylko na własnym podwórku. A trzeba przyznać, że pisze ładnie, swobodnie, z nerwem i wdziękiem. Umie być jednak ciętym i złośliwym w polemice, więc lepiej z nim nie zaczynać. Gotów tak schlastać, że człowieka rodzona prababka nie pozna. Dlatego czempredzej kończę z nim.

Od paru lat zaledwie upaja się dziennikarstwem na łamach „Słowa” *Ksawery Pruszyński*. Jego artykuły sprawiają wrażenie, że autor haszyszuje się różnymi problemami społeczno-politycznymi. Rozwijają te problematy jednak w sposób jakby zamało bezpośredni i trochę rezonerski. Literatura przykrywa mu życie. Wchłania się jego prace (mówię o osobistych wrażeniach), jak młode wino, znajdujące się dopiero w stadium fermentacji. Co z niego wyniknie?... Daj Boże, aby nie bonus vinus, lecz *vinum bonum, Ucrainae natum, Poloniae educatum*. Jeszcze parę lat, a zobaczymy...

* * *

„Dziennik Wileński”, pismo narodowo-demokratyczne o starych tradycjach, aczkolwiek wycho-

Kurfürst (1640—1688), był jeszcze lennikiem króla polskiego i usiłował naogół zachować w sprawach politycznych neutralność, zanim nie został przez sytuację zmuszony do uznania siebie również za lennika króla szwedzkiego, który zbrojnie naszedł Europę Środkową. Całkiem wyjątkową troskę obu kontrahentów stanowili odtąd właśnie ci wygnańcy litewscy. Dlatego zawarta między obu stronami umowa dotyczyła w szeregu punktów trudnej tej kwestji. Tak punkt V zapewniał wolność i zachowanie majątności tym tylko z wygnańców, co staną wnet po stronie króla Szwecji, inni mieli być traktowani, jako wrogowie Szwecji i Prus, z wszystkimi tego konsekwencjami.

Twardej tej umowie zawdzięczamy ostatecznie sporządzenie listy uciekinierów z Wilna. Oczywiście wątpliwe jest, czy wszyscy Niemcy z Wilna zbiegli przed Moskwą. Jedni chyba nie mogli, drudzy zapewne nie chcieli. Polacy natomiast uciekli do Prus domniemanie w 100 proc., bo wespół z gr.-katolikami Białorusinami mieli raczej szczególnie obawiać

się zemsty i grabieży od Moskwy. O wiele mniej mogli się tego obawiać wileńscy Niemcy. Droga do Polski rdzennej, więc za Niemen do Warszawy, była dalsza i wcale nie zdezpieczała przed dostaniem się w ręce moskiewskie. Stan rzeczy latem i jesienią r. 1655 był taki, że zaprzyjaźnione księstwo Pruskie należało uważać za najbliższe do osiągnięcia i stosunkowo najpewniejsze miejsce ucieczki i schronu.

Na podstawie umów powyższych, kurfirst 31. I. 1656 wydał drukowane obwieszczenie, mocą którego uciekinierzy, w terminie oznaczonym, winni byli zaprzysiąc poddaństwo pruskie i *sich ihm verwandt zu machen* (jakby się spokrewnić z nim) lub opuścić kraj. Pięciu urzędników pruskich wespół z pełnomocnikami szwedzkimi przeprowadzało tę procedurę. Kto miał pieczęć — zwykle była to *Hausmarke*, która służyła jako herb i legitymacja — kładł ją, obok podpisu, na potwierdzenie przysięgi. Kto znowu był niepiśmienny, wyrażał się tu krewnym lub przyjaciele, albo jakim pruskim urzędnikiem, jeśli już

dzi w Wilnie dopiero 18 lat. Prenumerata miesięczna w kraju cztery złote a na zagranicę 8 złotych. Ceni się zagranicą wyżej od „Słowa” o dwa złote. Widocznie liczy na eksport wobec nasycenia rynku krajowego. Naczelnymi pisarzami są *Aleksander Zwierzyński* (redaktor), niedawno upieczony doktor—*Stanisław Kodź* i *Piotr Kownacki*. Znam osobiście wszystkich trzech. Niesłuchanie mili ludzie. Dlaczego są dzisiaj w opozycji?.. Tak jakoś wypadło. Spadkobiercy przedwojennej endecji, która za najgroźniejsze niebezpieczeństwo uważała Żydów i masonów, pozostali i nadal przy starym sztandarze, chociaż czasy się zmieniły, chociaż życie wysunęło nowe siły i chociaż dawne hasła się zużyły. Myślę, że podstawą psychologiczną ich opozycyjności jest pewien kierat partyjny, w którym przywykli chodzić i którego nie chcą już zdradzać. Przyzwyczajenie, jak wiadomo, jest drugą naturą.

Chciałoby się coś napisać o indywidualności pisarskiej każdego z wymienionych publicystów. Jest to jednak trudne ze względu na to, że stali publicyści „Dziennika Wileńskiego” nie podpisują swych artykułów, a domyślać się autorstwa byłoby niedelikatnością. Możemy conajwyżej zaznaczyć opinie, że *A. Zwierzyński* reprezentuje w piśmie ortodoksalizm programowy partji N. D., *St. Kodź* wprowadza do pisma pierwiastek etyczno-rozumowy, a *Piotr Kownacki* zabarwia dziennik właściwym sobie temperamentem bojowym, w którym dziś nikt mu nie dorówna, chyba w starożytności — „Achilles wrzący, gorący”.

* * *

„*Kurjer Wileński*” — niezależny dziennik demokratyczny. Prenumerata trzy złote miesięcznie. Wychodzi w Wilnie XI rok. Niedawno zmienił format, właściwie powiększył swoje rozmiary i ma bardzo schludną szatę zewnętrzną. Nieobarczony żadnymi serwitutami przeszłości, jak monarchizm, interesy pewnej klasy, opozycja antyrządowa i fetyzizm partyjny, — „*Kurjer Wileński*” mógłby się rozwijać pomyślnie, gdyby...

W tem miejscu złamał mi się ołówek. I w porę. Bo jakże ja mam pisać to, co naprawdę myślę o „*Kurjerze Wileńskim*”, kiedy w tem piśmie umieściłem coś cztery swoje feljetyony i jak teraz za-

pragnąlbym umieścić piąty, to mi pewnie odrzuca. Niema głupich... Trzeba być politykiem. Zaryzykuję tylko jedną uwagę:

...brak ożywienia i werwy w redagowaniu pisma należy przypisać prawdopodobnie temu, że „*Kurjer Wileński*” uważa się za organ, zbliżony do obecnych sfer rządzących i dlatego wypada mu z urzędu zachowywać należytą powagę i... oschłość. Czy to takie konieczne?... Czytelnicy znajdują tego podostatkiem w „*Monitorze Polskim*”.

* * *

Mamy w Wilnie jeszcze jedno pismo, którego pominąć nie mogę. Jest to dwutygodnik „*Przegląd Wileński*” — pismo poświęcone sprawom krajowym. O istnieniu tego pisma większość wilnian dowiaduje się ze wzmianek dziennikarskich, donoszących od czasu do czasu, że „*Przegląd Wileński*” został skonfiskowany przez Starostę Grodzkiego, lub że dziś odbyła się rozprawa sądowa przeciwko redaktorowi „*Przeglądu Wileńskiego*” *Ludwikowi Abramowiczowi*, oskarżonemu o przestępstwo prasowe.

„*Przegląd Wileński*” odznacza się przede wszystkim niesłuchaniem licznym, jak na dwutygodnik, zespołem współpracowników redakcyjnych. Któż tam nie pisze?... Czytamy artykuły, podpisane przez *Licza*, przez *Karola Wagę* (*K. W.*), przez *Vigilansa*, przez *Autochtona*, przez pana a, pana cz, pana l i t. d. — wszystkich nie zliczyć. Jeden tylko p. redaktor *Abramowicz* nigdy w piśmie swoim głosu nie zabiera.

Ale zato ma dziwnie dobranych współpracowników. Wszyscy ci panowie mają ideologję w stu procentach identyczną z ideologją naczelnego redaktora. Tak są z nim zespoleni, że nawet piszą stylem, którego nie podobna odróżnić od jego stylu. Ot, co znaczy dobry redaktor, który umiał tak zgrać razem cały zespół redakcyjny.

I nie dziw. „*Przegląd Wileński*” wychodzi w Wilnie pod jego redakcją już 17 lat. Redaktor nabrał więc wprawę w dobieraniu sobie współpracowników. A jeżeli czasami robi *faux pas*, przyjmując np. moje feljetyony, to proszę mu wybaczyć.

Bolesław Szyszkowski.

nie stawał odwiecznych krzyżków. Rzecznikiem Niemców wileńskich, zebranych 11 lutego dla złożenia przysięgi, na zamku królewskim, był lekarz i doktor medycyny *Paweł Möller*, szwagier wileńskiego burmistrza *Jakóba Gibela*. Podziękował on kurfirstowi za okazane wszystkim uciekinierom w Prusach przyjęcie i zapewnił, że zbiegli oni z Wilna jedynie przed nawałą moskiewską, a więc przysięgę gotowi są złożyć. Zatem radcy kurfirsta poczęli odczytywać w języku niemieckim formułę przysięgi i przeprowadzać składanie podpisów przez zaprzysiężonych. Na pierwszy ogień poszli uciekinierzy z Wilna.

Listy były ułożone według różnych narodowości, osobno dla każdej, acz niekiedy na polskiej trafiały się nazwiska niemieckie, na niemieckiej polskie. Szkoda, że przebywający w Tylży i Ragnecie uciekinierzy nie podali ani swego stanu, ani rze miosła. Najciekawsze, że jeśli spytamy o stosunek wzajemny obu języków, to lista niemiecka liczebnie tak dla Wilna, jak Kowna, nie ustępuje wiele pol-

skiej. Dopiero jeśli do ostatniej doliczymy będące zawsze polskiem duchowieństwo katolickie — szczególnie liczny duchowny i świecki orszak biskupa *Tyszkiewicza* — okaże się dla Wilna większość polska. W Kownie obie grupy narodowe zupełnie były równe. Ponieważ już wtedy proces wynarodawiania Litwinów był w pełni, liczba zapisanych Litwinów w obu miastach dużą nie jest i kryje się za silniejszymi tu Polakami i Niemcami. Litwini trudnili się wówczas przeważnie rolnictwem i stanowili osiadłą na wsi ludność. Zwłaszcza przed Moskwą uchodzili oni w głębokie kraje leśne.

Teraz przejdźmy do samych nazwisk. W r. 1655 trudniło się w Wilnie kupiectwem, sądząc ze znajdujących się na liście zblegów nazwisk, co najmniej ze trzydziestu Niemców, przyczem wśród nich znalazły się jakieś dwa polskie nazwiska, jak *Palczewski* i *Pokoj*. Na osobnej liście podano coś dziesięć nazwisk wileńskich czeladników kupieckich i pomocników handlowych (*Kaufgesellen und Handelsdiener*). Powyżsi zatrudnieni byli w handlu ogólnym i hur-

Z mego notatnika.

Zjazd Żołędzi.

Ruchliwa autorka „Zwycięstwa Józefa Żołędzia” nie poprzestała na odmalowaniu na papierze portretu współczesnego przedsiębiorczego działacza społecznego na głuchej prowincji. Zapragnęła zebrać całą galerię takich typów, by im przyjrzeć się zbliska i żwawo się zakrzętnęła dokoła zorganizowania w Wilnie zjazdu, który widocznie dla zamaskowania swych istotnych intencji nazwała „Zjazdem działaczy kulturalnych”.

Zjazd taki istotnie się odbył z niemałą pompą na Wszystkich Świętych i zgromadził całą elitę umysłową naszego kraju. Przyjechali więc i p. Rączaszek i p. Rączaszkowa i p. Oberleitner i p. Lukas i p. Ziemak i p. Muzyczka. Witali ich i pouczali zaś działacze kulturalni z Wilna: p. p. Adamus, Dracz, Łysakowski, Lorentz, no i oczywiście w pierwszym rzędzie inicjatorka zjazdu. Patronowali wreszcie zjazdowi przedstawiciele Akademii Nieśmiertelnych z Warszawy p. Karol Irzykowski oraz Ministerstwa W. R. i O. P. p. Władysław Zawistowski.

O czym rozprawiano na zjeździe? Kto jest tego ciekaw, niech przeczyta sprawozdanie ze zjazdu aż w trzech numerach „Kurjera Wileńskiego”, oraz projekt „Izby Kultury” p. St. Lorentza również w trzech numerach tego samego „Kurjera”. Jeżeli nie wyrobi sobie dostatecznego pojęcia o celach i zadaniach zjazdu, to może uzupełnić powyższe informacje krytycznymi uwagami „Słowa”, które ze zrozumiałych powodów potraktowało całą tę imprezę z sardonijnym uśmiechem.

Ani do prac organizacyjnych ani do uczestnictwa w zjeździe nie zaproszono wszak nikogo ze składu redakcyjnego „Słowa”... Co prawda nie brali w nim czynnego udziału ani prof. Kościakowski, ani prof. Zdziechowski, ani p. M. Brensztejn, ani p. Z. Nagrodzki, ani p. Ludwik Chomiński ani wielu innych, prawie nikt z tych, którzy oddawna pracują tu nad podniesieniem kultury duchowej i niemałe w tym kierunku położyli zasługi.

Czy był to więc naprawdę zjazd działaczy kulturalnych naszego kraju? Oczywiście nie. Przewszystkiem niewłaściwym jest identyfikowanie pracy kulturalnej na naszym terenie wyłącznie z pracą kul-

turalną polską. Nie brak wszakże u nas działaczy kulturalnych litewskich, białoruskich, żydowskich, tatarskich, karaimskich. O tych nawet mowy nie było. Należało więc zaznaczyć wyraźnie, że chodziło tu o zjazd działaczy kulturalnych polskich. Ale i z tą poprawką nie można uważać zjazdu panów Rączaszków za wyraz zbiorowy potrzeb i dorobku kultury polskiej w naszym kraju.

Czemże więc był ten zjazd w istocie? A no, jasne, że zjazdem kulturtregerów, rozmaitych panów Żołędzi, którzy pośpieszyli do Wilna w uzasadnionej nadziei, że i na kulturze można będzie zrobić jakiś interes: otrzymać awans, odznaczenie, zapomogę. A i tytuł „działacza kulturalnego” czegoś jest wart.

Doczekali się.

Zaiste słuszne jest przysłowie, że kto mieczem wojuje, ten od miecza zginie. Endecja wileńska, jeżdżąc na koniku wszechpolskim, tak długo wierzyła na prawo i na lewo szumnymi frazesami o wpływach wschodnich, o braku uczuć narodowych, o separatyzmach dzielnicowych, aż w końcu doczekała się sama kopnięcia w najboleśniejsze dla siebie miejsce ze strony jeszcze bardziej wszechpolskiego i hurra-patriotycznego kurjerka krakowskiego.

A poszło o nieostrożne odezwanie się intelektualnego filara „Dziennika Wileńskiego” dr. St. Cywińskiego, docenta U. S. B. o galileuszach. W jakimś odczycie dr. Cywiński wyraził się, że Galicja reprezentuje najniższy typ Polaka, gdzieindziej bowiem polskość zasadzała się na opozycyjnym stosunku względem obcego, zaborczego państwa i praca dla polskości była połączona z wszelkimi prywacjami, tymczasem w Galicji sądzono, że sprawa polska da się pogodzić z austriacką racją stanu, wskutek czego panoszył się tam lojalizm i serwilizm.

Prawdę mówiąc rozumowanie dr. Cywińskiego nie wytrzymuje krytyki. Ugodowości nie brak było i pod zaborem rosyjskim, praca zaś społeczna i kulturalna niekoniecznie wymaga nastawienia buntowniczego. Ale dotknięty do żywego krakowski „I.K.C.” stanął dęba i wypalił taką oto admonicję pod adresem „Dziennika Wileńskiego”.

„Nie wiemy, do jakiej kategorii Polaków zalicza się docent dr. Cywiński. Że jednak reprezentuje on najniższy typ człowieka—jest chyba jasne. Otóż temu panu, którego pojęcia i mentalność wykazują

towym, bo inne listy zawierają osobno nazwiska niemieckich kupców, zatrudnionych w Wilnie handlem detalicznym, jak np. korzennym, winnym (Christian Wosz) i in.

Licznie reprezentowani są Niemcy wileńscy we wszystkich kunsztach i rzemiosłach, jak złotnictwo, kamieniarstwo, grawerstwo, zegarmistrzostwo (m. i. Jakób Jurkiewicz!), piapiernictwo, lniarstwo, organmistrzostwo (reprezentowane przez niewiastę... Gertrudę Kornelschin), kotlarstwo, stolarstwo, malarstwo, kukiernictwo, filcownictwo, guzikarstwo, siodlarstwo, rymarstwo, krawiectwo, ciesielstwo, fryzjerstwo, ślusarstwo, pasmanciarstwo, rusznikarstwo, restauratorstwo, szynkarstwo... Każde z nich mogło wykazać się w Wilnie większą lub mniejszą ilością Niemców.

Niemców nie brakowało również w zawodach wyzwolonych. Najczęściej byli to *doctores medicinae*, absolwenci wszechnicy królewieckiej, dokąd jeździli na studia czasem i Polacy. Tak był w Wilnie podówczas adwokat Arnolf Zaleski (ożeniony jednak

z rodowitą Niemką), który jurysprudencej studjował właśnie w stolicy Prus Wschodnich. Wileńscy ministrowie, tak *confessionis augustanae*, Jan Malina i *magister* Oton Mattesius, jak reformowany Jakób Chełchowski (*Chelchovius*) byli wszyscy uczniami uniwersytetu królewieckiego.

Zasięg Nidmców nie wstrzymał się przed dworem królewskim, gdzie wtedy pracował w mennictwie Hans Trilner. Jeszcze liczniej miał dokoła siebie Niemców książę Bogusław Radziwiłł. Byli u niego chirurgami, aptekarzami i inne służebności pełnili.

Na listach uciekinierów do Prus znalazło się kilkadziesiąt Niemców, którzy podali swe nazwiska (lub tylko imiona, jak wdowy) nie jako *Bürger*, lecz jako *Einwohner aus der Wilde*. Słowem w drugiej połowie w. XVII w Wilnie zamieszkiwało dużo posiadających prawa obywatelskie Niemców.

Sonderling.

piętno wychowania na Kamczatce, czy gdzieś w innym zakątku najciemniejszej Azji — „Galicjanie” odpowiadają grzecznie co następuje:

Od r. 1918 niema Galicji, natomiast jest Małopolska. Rozumiemy wprawdzie głęboki żal niektórych panów *za batiuszką carem i matuszką Rosją*, ale sądzimy, że okres czasu od r. 1918 do 1934 wystarczył, by *przyzwyczaiwszy się* do odrodzonej Rzeczypospolitej...

Proponujemy, by dr. Cywińskiego i redakcję „Dziennika Wileńskiego” uznać za honorowych prezesów carskich emigrantów rosyjskich i życzyć im powodzenia w dążeniu do stworzenia wielkiej i potężnej Rosji, składającej się, „z prywiślińskiego kraju”, „gubernij zachodnich” i „Galicji” pod berłem cara. Ponieważ pobyt ich w Polsce jednak jest nieaktualny w obecnej sytuacji, spodziewamy się, że uzyskanie pozwolenia na wyjazd do kraju marzeń i młodości Czelabińska czy innej Tuły nie napotka na zbytne trudności. Przedstawiciele tych najwyższych typów istinno-ruskich Polaków żegnamy serdecznie a dla nich zrozumiałym okrzykiem: „*paszoł won!*”

Do czego my dożili, o Rossijanie! można zawołać za kaznodzieją rosyjskim. Redakcja ultra-narodowego „Dziennika Wileńskiego” jest przesiąknięta duchem „najciemniejszej Azji” — czy mógł się kto tego spodziewać? Oto do czego doprowadziło usunięcie się w zacisze wiejskie p. J. Obsta.

Licz.

Wymuszona zgoda.

O tarcich między ziemiaństwem miejscowym, a związkiem osadników wspominaliśmy w „Przegl. Wil.” niejednokrotnie. Ujawniły się one niezwykle plastycznie zwłaszcza na terenie wileńsko-nowogródzkiej Izby Rolniczej.

Warto poświęcić tej ostatniej nieco uwagi.

Organizacja Izby Rolniczej oparta jest na następujących zasadach: Izba posiada trojaki rodzaj członków w swej Radzie: 1) członkowie, wybrani przez samorządy miejskie (sejmiki), 2) członkowie, wybrani przez organizacje rolnicze i 3) nominaci, wyznaczani przez ministra rolnictwa, przy czem nie może być ich więcej niż połowa wybranych przez samorządy i organizacje.

Rada Izby, złożona z 52 osób, ustalona w powyższy sposób, jest władzą Izby ustanawiającą (budżet, generalna linja pracy, plan szczegółowy prac i t. p.). Wybiera ona spośród siebie Zarząd, składający się z 9 osób, który stanowi władzę wykonawczą Izby. Wybrany przez Zarząd prezes reprezentuje Izbę.

W wyniku pierwszych wyborów i nominacji skład osobowy Rady wypadł w taki sposób, że osadnicy i ich zwolennicy znaleźli się w mniejszości. Ponieważ pertraktacje pomiędzy obiema grupami co do uzgodnienia listy zarządu nie doprowadziły do pomyślnego rezultatu — więc większość drogą normalnego głosowania wyłoniła taki zarząd, w którym nie znalazło się ani jednego osadnika.

Do Zarządu weszli: senator K. Rdułtowski, jako prezes, poseł Br. Wędziagolski, jako wice-prezes, Z. Ruszczyk, Cz. Krupski, J. Trzeciak (dzier-

zawca), A. Kokociński (dyrektor Związku Rewizyjnego), rektor W. Staniewicz, gen. L. Żeligowski oraz Kraszewski, drobny rolnik z woj. nowogródzkiego.

Można sobie wyobrazić, jakie oburzenie zaplanowało w sferach osadniczych. Nowy zarząd stał się też niebawem przedmiotem zacieklej ataków ze strony przywódców osadników, którzy, uważając się za reprezentantów drobnej własności, fakt pominięcia ich przy wyborach do zarządu uznali, jako dowód opanowania Izby przez większą własność, przez obszarników.

Rozpoczęły się usilne zabiegi na miejscu i w Warszawie, by zmienić ten niekorzystny dla osadników stan rzeczy, a gdy intrzygi nie poskutkowały, osadnicy przystąpili do demonstracyjnego bojkotu Izby, uchylając się od wszelkich prac w komisjach, p. Kokociński zaś, przychylnie usposobiony względem osadników, wystąpił z zarządu. (Na jego miejsce został obrany p. Pietruszewicz).

Sytuacja się zmieniła jednak wraz z objęciem stanowiska ministra rolnictwa przez p. Poniatowskiego. Wpływy osadników wybitnie się wzmożły. Wywarło zgóry odpowiedni nacisk i... grupa ziemiańska zmuszona była pójść na ustępstwa. W rezultacie poufnych pertraktacyj Zarząd podał się do dymisji, składając swe mandaty do uznania p. wojewody, który też ułożył nową listę. Zostali z niej usunięci prezes Rdułtowski, Kraszewski i Pietruszewicz, zamiast których weszli czołowi działacze z obozu osadników: Wł. Kamiński, Cz. Dębicki i E. Taurogiński. Rada na swej jesiennej sesji w d. 27 października oczywiście zaakceptowała ten nowy skład zarządu.

Na podkreślenie w tej całej historii zasługuje stanowisko osadników, którzy uważają siebie za nieodzowną część składową każdej instytucji rolniczej. O ile nie uda się im, jak to miało miejsce w wil. Izbie Rolniczej, trafić do Zarządu, wszczynają gwałtowną kampanję i przy pomocy władz centralnych swój cel osiagają. Występują przytem zawsze w roli przedstawicieli zmajoryzowanej rzekomo przez obszarników drobnej własności. Że jest to tylko manewr demagogiczny, dowodem są właśnie omawiane wybory.

Z dziewięciu członków b. zarządu tylko trzech reprezentowało interesy wielkiej własności (Krupski, Rdułtowski i Ruszczyk). Z tych ustąpił jedynie senator Rdułtowski, dwaj inni zaś członkowie usunięci (Kraszewski i Pietruszewicz) są obaj drobnymi rolnikami. Usunięto ich, by oczyścić drogę osadnikom Dębickiemu i Taurogińskiemu, którzy są właścicielami folwarków...

W świetle więc ideologii osadniczej cały bez wyjątku inteligentny element miejscowy jest przesiąknięty duchem obszarniczym, niezależnie od swego stanu posiadania, natomiast tylko osadnicy reprezentują radykalizm społeczny i tylko oni mają prawo przemawiania w imieniu drobnej własności, czyli tysiącznych rzesz włościańskich.

O tem pisano już obszernie w „Przeglądzie Wil.”; wybory do wil. Izby Rolniczej stanowią jeszcze jedną wymowną ilustrację tej dziwacznej sytuacji, która mogła powstać jedynie wskutek nieuświadomości i bierności naszego ludu.

Rusticus.

O pochodzeniu obrazu Ostrobramskiego.

Świeżo temat powyższy znowu poruszony został w komunikacie „Kapu piórem cieszącego się u nas opinią znawcy ikonografii kościelnej, dr. Mieczysława Skrudlika. Świadczenie jego jest niepodważane, bo to i narodowiec i łacinnik nawskroś. Podamy tu jego opinię w streszczeniu.

Już dr. Wł. Zahorski wiązał pochodzenie i kompozycję obrazu Ostrobramskiego z wizerunkiem *Chrystusa z berłem* w przedścionku bocznym katedry (bazyliki), w górze nad drzwiami wewnętrznymi.

Typ obrazu Chrystusa z berłem znany jest w sztuce chrześcijańskiej oddawna, bo pojawia się w ww. III i IV i, oczywiście, na wschodzie, w kołębce chrystjanizmu. Stąd i nazwę ma grecką *Pantokratora*. Pomiedzy wiekiem III a XII artyści bizantyjscy traktują ten typ ikonograficzny, jako istniejący sam w sobie, ujęty w całej postaci lub popiersiu, albo też jako postać koncentryczną w większych kompozycjach. Ze sztuki bizantyjskiej przeszedł Chrystus-Pantokrator do sztuki ruskiej, a stąd na ziemi polskie i litewskie. Jeśli chodzi o pierwsze, to wpływy ikonografii bizantyjskiej ujawniły się w katedrach krakowskiej, płockiej, sandomierskiej, jeśli o drugie—to w Wilnie. Czy te wpływy wschodnie szły do Wilna wprost, to jeszcze kwestja otwarta. Istniała bowiem też inna droga, okólna, którą mogły wkroczyć do nas owe wpływy i oddziaływania, przez Niderlandy.

Jakkolwiek w sztuce zachodniej i południowej wizerunki Pantokratora stały się zawiązkiem bogatych kompozycji figuralnych, dzięki pojawieniu się na nich postaci dopełniających, pogrążonych w modlitwie i adoracji, to jednak najliczniej wystąpiły one w sferze sztuki staroniderlandzkiej, która swobodnie transportowała odwieczne wzory bizantyjskie.

Postać Pantokratora, t. j. Chrystusa-Władcy, pojawiała się od w. X często, tak na wschodzie, jak na zachodzie, łącznie z wizerunkiem N. M. P., Orędowniczki wiernych. Po grecku zwano tę kompozycję *deesis*—modlitwa, błaganie. W sztuce zachodniej w w. XV ustaliły się bimorficzne, dwupostaciowe kompozycje *deesis*, rozbite na dwa wizerunki—Chrystusa z błękitnym berłem w lewicy i pochyłonej przed Nim lub klęczącej Marji Orędowniczki za lud, lub zamknięte w ramach jednego obrazu. Takie dyptychy lub większe pojedyncze obrazy szczególnie licznie spotykamy właśnie na gruncie sztuki staroniderlandzkiej w. XV, w której promieniu oddziaływania przez czas pewien było Wilno, jak stwierdził to prof. Morelowski. Sens takich obrazów był: Chrystus-Władca, wskutek wstawienia swej Matki, błogostawi wiernym.

Za pośrednictwem cechowych malarzy krakowskich XVI i XVII stuleci, wyszkolonych na wzorach niderlandzkich, przedstawienia *deesis* rozpowszechniły się szeroko i mogły dotrzeć tak do Wilna, gdzie właśnie w Ostrejbramie obraz N. M. P. jest fragmentem rozbitej dzisiaj *deesis*, z której wizerunek marjański został w kaplicy, a jego odpowiednik, nieznaną bliżej koleją losów, trafił do bocznej kruchty katedralnej.

Byłoby rzeczą wartościową zespolenie obu wizerunków przynajmniej na artystycznej fotografii w jedną całość lub w dyptych. Rekonstrukcja nie rzadko stosowana jest w dziejach sztuki, zwłaszcza tam, gdzie się ma doczynienia z fragmentami.

X.

Ks. Kurczewski jako krytyk dr. Zahorskiego.

Długie lata pracował prałat Kurczewski nad przeszłością diecezji wileńskiej. Właśnie zbliżał się powoli do końca badań i ogłoszenia drukiem „Kościola Zamkowego“ i „Biskupstwa Wileńskiego“, gdy w r. 1904 wyszła w Wilnie, nakładem J. Zawadzkiego, ładnie wydana praca dr. W. Zahorskiego „Katedra Wileńska“. Łatwo można sobie wyobrazić, z jakim zaciekawieniem historyk katedry wileńskiej i biskupstwa, znający swój przedmiot jak nikt u nas inny, wertował studjum monograficzne na tak sobie bliski a umiłowany temat. Nie przyszło jednak mu do głowy zaliczyć się i szeroko się rozwodzić w prasie, jak czynią dziś niektórzy współcześni badacze dziejów Wilna, że ktoś im depcze po piętach, podchwytyjąc temat. Nie ogłosił nawet nigdzie uwag krytycznych. Dopiero teraz możemy się z nimi zapoznać.

Lekturę monografii Zahorskiego prowadził ks. Kurczewski zwykle z piórem lub ołówkiem w rękę, dzięki czemu na czytanim egzemplarzu pozostały uwagi marginesowe, które i po dziś dzień nie utraciły wartości. Oczywiście, zrobimy tu pewien wybór, bo cóż może ogół szerszy, poza specjalistami, obchodzić to, że Zahorski wcale często mylił się w nazwach, widocznie błędnie je odczytując, lub popełniał gdzieś lapsus linguae w rodzaju takiej niedorzeczności, jak np. *obowiązek odprawiania codziennie prawie (sic!) Mszy za dusze zmarłych*, albo wreszcie mylnie coś zacytował.

Natomiast nie jest obojętnym stwierdzenie ks. Kurczewskiego, że dr. Zahorski insynuuje kapitule wileńskiej z w. XVI jakąś odwieczną niechęć do szkoły katedralnej. Dużo tu wszelkich podkreśleń i parę pytań. Snać wątpił ks. K. tym razem o bezstronności pióra dr. Zahorskiego. Dalej nie trafia ks. Kurczewskiemu do przekonania ukuta przez dr. Zahorskiego, a sztuczna nazwa *Witoldowski ołtarz Bożego Ciała* w katedrze. Żywiej też poruszyło naszego historyka, że, według autora studjum miał się odbyć w r. 1555, w katedrze św. Stanisława, synod diecezjalny, wcale osobliwy, bo pod przewodnictwem biskupa... żmudzkiego. Na nim w bezmała czterdzieście lat po wybuchu reformacji Lutra, zaczęto w Wilnie, z tak właściwą dla kraju naszego flegmą, namyslać się dopiero, czy nie ustanowić urzędu inkwizytorskiego... Otóż było to wszystko b. niecisłe, jeśli już nie całkiem fałszywe. Mylił się również Zahorski, nazywając nieco niżej biskupa Protasewicza w *diecezji nie rezydującym*, wtedy gdy ten prawie stale przebywał w Wilnie.

Ks. K. ma niemałą zasługę wobec historjografji Wilna za pogrzebanie ostateczne dramatycznej wprawdzie, lecz pozbawionej solidnych podstaw wersji o tem, jak to rzekomo biskup wileński Paweł Holszański, wspólnie z sufraganem Cyprjanem, miał powstrzymać, tuż przed Zamkiem wileńskim, Zygmunta Augusta, jadącego w odwiedzinę do zboru kalwińskiego na Łukiszkach. Tymczasem uczony prałat stwierdził, że w czasie oznaczonym bp Paweł był *chory* i przeto w owym wystąpieniu uczestniczyć nie mógł, Cyprjan zaś nawet *jeszcze nie był sufraganem*...

Po najściu na Wilno Moskwy, kapituła w r. 1666 rozpoczęła kapitalną restaurację katedry. Otóż dr. Zahorski pisze, że prowadzący te roboty Jan

Salvador zobowiązał się *kościół cały Tomańską cegłą wyłożyć*. Ponieważ *errata* odnośnie tego miejsca nie zawierają żadnego *corrigendum*, świecki dziejopis katedry na serjo brał istnienie jakiejś *Tomańskiej cegły*, gdy tymczasem, jak notuje ks. K., mowa tu o cegle *Toruńskiej*, która dla specjalnych swych właściwości, i gdzieindziej poza katedrą używana była do wykładania posadzki.

Gdy wynikł znany w dziejach Wilna spór między bpem Brzostowskim a Sapiehą, biskup miał, według Zahorskiego, zamknąć kaplicę św. Kazimierza, *pod pretekstem, że nie ma z czego (sic!) odbywać nabożeństwa*. Poruszony tą nieścisłością, ks. K. kreśli tu na marginesie: *Pierwiej kłatwa, potem zamknięcie katedry*. Nieco niżej Zahorski podaje błędnie, jakoby całe wówczas *duchowieństwo odmówiło posłuszeństwa* biskupowi, czemu zaraz sekunduje nota: *nie wszystko*. Naogół dzieje tego sporu Zahorski przedstawił wręcz bałamutnie.

W innym miejscu swej pracy Zahorski twierdzi, że bp. Hieronim Strojnowski *był jednocześnie rektorem uniwersytetu*, co wywołuje sprzeciw historyka kościelnego, bo Strojnowski piastował berło rektorskie, jak wiadomo, dużo pierwiej niż wdział mitrę.

Szczególnie musiało boleć ks. K. co Zahorski napisał o ostatnim odnowieniu katedry za bpa Zwierowicza, mianowicie: *Kapituła powierzyła odnowienie (katedry) rzemieślnikom i nie zaprosiła nikogo z artystów i znawców do kierowania. To też popełniono mnóstwo błędów i niemało cennych przedmiotów wprost popsuto*. Tu dopisano atramentem ręką ks. K.: *Restauracją kierował architekt Antonowicz, rady (zaś) zasięgano (u) art. Rusieckiego Bolesława*.

Dorzucą tu ks. K. przyczynek do dziejów obrazu N. Panny pod portretem Witolda w katedrze, pisząc: *Ten obrazek należał do Benedyktynek Starotrockich i pewniejszem jest, iż ten właśnie był darem Witolda, który założył Benedyktyńców w Starych Trokach*.

Omawiając skarbiec katedralny w Wilnie, Zahorski, jak wytyka mu ks. K., rokokową monstrancję Paca nazwał darem „Tyszkiewicza”, a mniejszą tyszkiewiczowską — ofiarą Paca. Z kolei podrwiwa sobie ks. K. z ornatu królowej Jadwigi *ze św... Kazimierzem na plecach*. Doskonale znając dzieje kapituły wileńskiej, ks. K. ustala, że pierwotnie miała ona *proboszcza (prepozyta), dziekana i 10 kanoników (nie 12, jak pisze Zahorski)*. Statut kapituły wileńskiej za twierdził już nuncjusz Zacharjusz w r. 1520 (*nie w r. 1561, jak podaje Zahorski*). Zapomniał również Zahorski wśród juryzdyk wileńskich, wymienić *biskupiej*.

Za lekkomyślną wprost insynuację poczytuje ks. K. troje dziwów, wypisanych przez Zahorskiego o stosowaniu przez kapitułę wileńską... tortur i wyroków śmierci względem heretyków i żydów, i pyta: *kiedy i w jakim wypadku? Łyszczyńskiego sądził sąd biskupi i sejm*. Naogół dzieje kapituły w opracowaniu Zahorskiego pstrzą się od błędów. Tak autor w zapale pisze, że kapituła wileńska nieraz nie ustępowała nietylko swemu biskupowi i królowi, ale nawet samemu papieżowi (!). Biskup miał być wyłącznie przez nią obierany i od niej zależny, dopiero biskupi od Protasewicza używają już pełniejszej władzy, aż wreszcie na początku w. XVIII kapituła traci wszelką władzę. Tu zauważa ks. K.: *Dopiero po zaborze kraju kapituła traci dawną powagę, zastrzeżoną jednak prawem kanonicznem wobec Stolicy Apostolskiej władzę posiada*.

Gdzieindziej pomieszał Zahorski sprawę wywołania archiwum kapitulnego przed nieprzyjacielem

podczas wojen na południe i zachód z rzekomo aktualnym urzędowaniem kapituły, to... w Częstochowie, to... w Krakowie, to... we Lwowie... Mogli poszczególni członkowie zabrnąć podczas ucieczki z Wilna aż tak daleko, nigdy jednak kapituła, jako taka, tj. ciało zbiorowe. Nie okazał się zbyt mocnym Zahorski nawet w heraldyce, bo pobłądził w opisie herbu kapituły wileńskiej, która ma w nim trzecią koronę *w hełmie*, nie zaś w środku pod dwiema drugimi.

*

Druga książka, która zawiera też pewną ilość notat marginesowych ks. Kurczewskiego, to N. Rouby *Przewodnik po Litwie i Białorusi*, gdzie historyk naszego Kościoła spostrzega i prostuje pominięty, to majątek kościelny (np. Bezdzieź), to opuszczoną kaplicę (np. Białogórna pod Słonimem), to mylną datę fundacji kościelnej (kościół w Bystrzycy właśnie *fundacji Jagielly*). Obok rodzinnego Danuszewa, taką stawia ks. K. notę: *(należał) w XV wieku do Zabrzezińskich, potem Swołyńskich, Tryznów, Koszyczów...* Przy Daugieliszkach dopisuje czwartą jeszcze filję: *Paryngę*. Gdy przeczytał, że kościół w Święcianach jest murowany, przekreśla i pisze: *wymurowany w 1898 r.*

Dając informacje o Szemetowszczyźnie Skirmuntów, N. Rouba tak pisze: *Po Konstancym Skirmuncie, który wdzięcznie się zapisał w pamięci mieszkańców Szemetowszczyzny przez utworzenie spółki zaliczkowo wkładowej, dobra te oddziedziczył Bolesław Skirmunt*. Innego całkiem o tem był zdania ks. K., bo notuje tu z pasją: *A niech już jasne (pioruny spalą) tę spółkę! Ilu (tu) włościan policytowano za żyrowanie weksli Żydom!*

*

Trzecią książką z biblioteki ks. K., opatrzoną notami marginesowymi, jest cenne dla badaczy archiwalnych *Vademecum* Teodora Wierzbowskiego. Grzebiąc się ustawicznie w aktach i rękopisach polsko-łacińskich i ruskich, ks. K. wynotował tu na marginesach cały szereg skrótów, jakie przeoczył nawet T. Wierzbowski. Uzupełnił również profesorski słowniczek łacińsko-polski rzadkimi wyrazami.

Archiwista.

Bibliografia.

Charkiewicz Walerjan. „Scypjon ruski”. *Konstanty Iwanowicz książę Ostrogski...* Wilno 1934, str. 40.

Postać wielkiego Rusina, Konstancyna księcia Ostrogskiego *seniora*, była swego czasu zjawiskiem niepospolitem w dziejach naszego kraju, a dziś zasługuje na opracowanie historyczne. Zadania tego w niewielkiej broszurze podjął się pracujący od szeregu lat nad przeszłością unji i prawosławia u nas dr. Walerjan Charkiewicz. Pisząc sylwetkę bohatera szeregu wojen i wybitnego męża stanu, badacz korzystał ze źródeł, tak w języku polskim, jak rosyjskim i nawet ukraińskim, które podaje w końcowej notatce bibliograficznej. W tym jednak spisie nie znajdujemy ani nowej pracy prof. Chodynickiego, ani głośnego studjum Lewickiego, poświęconego osobie Konstancyna księcia Ostrogskiego *juniora*, znanego z historii Unji Brzeskiej, chociaż obie prace pewno już były w sprzedaży, gdy broszura jeszcze drukowała się, i mogłyby dorzucić ten lub ów szcze-

gól do charakterystyki wypadków i osób, jak też tendencji i tradycji rodu książąt Ostrogu.

Oczywiście autor portretu historycznego rzuca wpród tło, na którym się ukazała u nas pełna niezwykłego dramatyzmu osobistość księcia, jaki był w życiu hetmanem, wojewodą, kasztelanem, marszałkiem, starostą..., a zawsze na ziemiach litewko-ruskich. Zbyt jeszcze świeżym a cienkim był tu pokost chrześcijaństwa w początkach w. XV, zbyt zależną Cerkiew prawosławna od możnowładców świeckich, by oba wyznania, Kościół i Cerkiew, mogły dojść do pełni przynależnego im wpływu, zwłaszcza podczas nieustannych najazdów tatarskich i moskiewskich.

Omawiając *Ród książąt Ostrogskich*, autor nie zaspakaja słusznej chyba ciekawości czytelnika, jakim herbem się on pieczętował. Gdzie mowa o *Litwie i Rusi*, żona Aleksandra Jagiellończyka Helena mylnie jest nazwana królową polską, chociaż nią nie była, skoro ani była koronowana, ani być nią nawet mogła, w myśl ustaw b. Rzeczypospolitej. Nazywano ją nieraz królową, lecz tylko kurtuazyjnie. Nie będziemy się zatrzymywać dłużej nad rozdziałami, gdzie mowa o walkach Ostrogskiego z Tatarami i Moskwą, które *con amore*, a ze zwykłym sobie patosem opisuje Charkiewicz. Wystarczy powiedzieć, że przeważnie wychodził z nich książę Konstantyn zwycięsko, i były one dlań nowym szczeblem do wywyższenia. Zdarzyło się jednak trafić raz mu do niewoli moskiewskiej, skąd po pewnym czasie uciekł z powrotem do Litwy. Tego celu dopiąć mógł tylko za cenę zdrady, z której mimo wszystko nie sposób go całkiem rozgrzeszyć. Charakter zdrady nosiła też pozorna widać przynależność, księżniczki Zoi Paleologianki w Rzymie do katolicyzmu, co bierze autor na serjo, mimo że śladów tego wyzbyła się Greczynka na oczekaniu, oddając rękę w. ks. Iwanowi III.

Lecz wróćmy do osoby zwycięzcy z pod Orszy a fundatora dwu wileńskich cerkwi prawosławnych, św. Trójcy *Przemienienia relikwji św. Mikołaja Cudotwórcy* (a nie *simpliciter* św. Mikołaja, bo cerkiew pod tem wezwaniem już była w Wilnie gdzieindziej), jakie święto przyjęła właśnie Cerkiew wschodnia, z ustanowienia Rzymu, po dokonaniu rozdziału Kościołów. Wszystko atoli ma swój koniec, skończyła się więc i Iliada K. Ostrogskiego. Przyszły dlań *Ostatnie lata*, gdy miał już za sobą „kilkadziesiąt większych bitew, setki potyczek, lata całe w polu...” Mało, zbyt mało umiał autor powiedzieć o tych latach ostatnich swego bohatera, oprócz tego, że umarł i spoczął w kijowskich Peczorach, gdzie mu postawiono pomnik. Zakończenie jest przekonująco syntezą postaci starego hetmana.

Pożądane byłoby wydanie serji takich krótkich życiorysów zasłużonych dla Wilna i kraju wielmożów jak Sapiehowie, Radziwiłłowie, Gasztołdowie, Pacowie i t. d.

Gardiner.

Hedemann Otto. *Dzisiaj i Druja. Magdeburskie miasta*. Wilno 1934. Str. 426 z ilustr. i 2 mapami.

Ścisłość biblijograficzna nakazuje uzupełnić tytuł powyższy informacją, że jest to tom VII rozpraw III wydziału T. P. N. w Wilnie. Złożyły się nań dwa szkice historyczne, poświęcone dwóm grodom magdeburskim, stojącym nad graniczną Dźwiną: Dziśnie

i Druj. Dawno istnieją te nadrzeczne osady: Druja już istniała w r. 1386, Dzisiaj akta wspominają w r. 1461. Z tych osad powstały miasta, dzięki akcji kolonizacyjnej zgodnie z hasłem *Drang nach Norden*, przyczem posługiwano się znaną, lecz wcale nie zachwycającą metodą: *Kupiec szedł zawsze obok mnicha*. A jak nierówny był to podział zysków! Gdy kupiec zagarniał pieniądze i surowce, mnicha łupił tu każdy, kto tędy przechodził: Moskal, Szwed, różnowerca. Kupiec jednak został, gdy po tak licznych w Druj (zwłaszcza!) i Dziśnie klasztorach ślad zanikł wszelki. *Nec locus ubi Troja...* W kolonizacji ziem naddziwińskich brały udział liczne rody Korsaków, Despot-Zenowiczów, Kozieł-Poklewskich, Hłasków, Snarskich i w. in. Wprawdzie z Połocka dochodziły też wpływy władcyk tamecznych, ale *nec Hercules contra plures*, zwłaszcza że ani dyzunicy, ani unicy nigdy nie posiadali u nas pełni praw obywatelskich.

Dzieje obu miast opracował Hedemann, opierając się na źródłach rosyjskich, jak Sapunow i in., korzystając z całego dostępnego dziś materiału archiwalnego, który jednak dotyczy tylko paru wieków ostatnich. Praca ta wykonana została sumiennie i wydobyla najaw sporo kulturalno-historycznych przyczynków, jak np. procesy o czary, *monachomachje* (najazd drujskich dominikanów w r. 1733 na tamecznych bernardynów) i in.

Ze spisu źródeł widać, że uszła uwagi autora cenna praca ks. Kantaka „*Bernardyni Polscy*”, gdzie znajdzie się też nieco o klasztorze drujskim. Z tego znowuż względu, że ten Konwent był, podobno jak i budzławski, filją kustodialnego klasztoru bernardynów w Wilnie, było wskazaniem zajrzeć do rękopiśmiennej Kroniki Bernardyńskiej, wielorakie bowiem węzły łączyły Druję z Wilnem, gdzie np. ukrywano czasami wojen kosztowności klasztoru drujskiego.

Niepotrzebnie autor pisze nieraz w tekście *ś p.* (!) *Zygmunt August* lub *p.* (!) *Korsak*, *p.* (!) *Sielawa*, *p.* (!) *Iwicki* i t. p., co w pracy historycznej zawsze razi. W skorowidzu nazwisk i miejsc na końcu wadliwie podane są pewne osoby i miejsca, że wymienię *Bobola A. X.* (trzeba się domyśleć, że tu chodzi o bł. Andrzeja Bobolę, a nie o jakiegoś księdza) i *Brześć* (bez bliższej denominacji).

Marnie odbite i źle wydane ilustracje są prawie bez wartości i nicby książka nie straciła, jeśliby ich wcale nie było. Nieco lepsze są mapy.

Nie zmniejsza to naszego uznania dla pracowitości autora, który niezmordowanie usiłuje rozświetlić przeszłość naszego kraju. Gdy praca pierwsza, debiutancka (o pow. brasławskim), zdradzała może pewien brak krytycyzmu i publicystyczne nastawienie, dziś autor ujawnia już znacznie głębszą ocenę zjawisk i postaci historycznych, utrzymując się na stanowisku badacza naukowego.

Wat.

Odpowiedź Administracji.

P. W. Dubowskiemu w Warszawie. Poczta zwróciła nam Nr. 15 z powodu wyjazdu adresata, wobec czego wstrzymałmy wysyłkę pisma pod wskazanym adresem.

